

Wojciech Stanisławski: Tyrmand, mizantrop doskonały

Mizantropia jest, jak się wydaje, stanem osobnym, punktem widzenia, do którego dochodzi się latami. Mizantropia dobrej jakości jest jak karabin maszynowy na obrotowej podstawie, jest w stanie razić niemal na wszystkie strony – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Tyrmand. (Pop)kultura podmiotowości”.

Pierwszym krokiem na nowej drodze było ufundowanie salonu. W Warszawie salon literacki jest przedsięwzięciem ekonomicznym: przede wszystkim wymaga inwestycji terenowych i kapitału. Na całopalenie zostało rzucone własne mieszkanie: żal było deptanych dywanów kaukaskich i bucharskich [...], lecz słowo się rzekło i czekało na owoce chwały. Chwała zaś rozkwitała raz w tygodniu.

Duży pokój wypchany był meblami i ludźmi, ciasno jak zawsze, gdy kilkanaście osób zbierze się w zbudowanym po wojnie, warszawskim mieszkaniu. W powietrzu unosił się zapach parówek w sosie pomidorowym i niezłej wody kolońskiej. Na ścianach wisiał zbity tłum obrazów: od symbolistycznych, ostrych w konturach szarad, poprzez portrety różnych szkół i zielono-fioletowy gulasz polskiego postimpresjonizmu.

Jakie to jest dobre! Nic nie zostało wybaczone: ani paleta barw polskich kapistów (choć gdzie Tyrmand wypatrzył tę zielen i fiolety u Nacht-Samborskiego?), ani przeładowanie mieszkania, ani skąpstwo, ani nawet kłopoty z wentylacją grawitacyjną, choć przecież za to jedno, za zbyt mocną woń podgrzanej razem garmażerki, sera i przecieru, nie sposób przecież winić madame Stoll, która mogłaby zasadnie uznać się za ofiarę brakoróbstwa polskiej budowlanki.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaż darowiznę w dowolnej wysokości.

A przecież to tylko jeden z tysięcy akapitów powieści niemal równie obszernej jak *Zły*, równie obfitującej w pejzaże, dygresje i „obrazy z życia” (swoją drogą zabawne, że pokoleniom maturzystów lamentujących nad nudą „opisów u Orzeszkowej” nigdy nie przeszkadzały opisy u Tyrmanda, których jest tam na oko dwa razy więcej niż w *Nad Niemnem*. Być może jest to ostatecznym dowodem, że staliśmy się plemieniem miejskim). Strona za stroną, rozdział za rozdziałem, wecowane są zapachy („kotów, starych mebli i smażonej słoniny”) i kolory, usterki cery, tynku, makijażu i wełn bielskich, rażące oko krzywizny NRD-owskich samochodów, tłuczonych kluczem rur armatury oraz dam, którym los poskąpił bujnego biustu lub dobrego metabolizmu, śliskość brudu i szorstkość rdzy. Co tam jednak cera i rura: pod lupę brane jest siedem grzechów głównych i siedemdziesiąt siedem drobniejszych przywar: pycha i rozpusta, chciwość i zawiść, między nimi zaś przymilność, obłuda, kokieteria, tchórzliwość, dwulicowość, brutalność i cwaniactwo. To nie Warszawa epoki środkowego Gomułki, to Sodoma, przez którą wędruje Mikołaj Plank –

odważny, nieprzekupny, przegrany i zachwycający, *alter ego* autora, który tworząc tę postać, zdołał ze współczuciem pochylić się nie tyle nawet nad sobą realnym, co nad wymarzoną projekcją siebie samego: szeryfa w nordyckim typie, który sam, zdradzony przez wszystkich, idzie wymarłą ulicą w samo południe.

Mniejsza jednak o złośliwostki pod adresem Tyrmanda, w których i tak mało kto potrafiłby mu dorównać. Mniejsza również o całe Tyrmandowe *who is who*, o dociekanie, ile w Andrzeju Felaku jest z Jana Osmańczyka, a ile z Kazimierza Koźniewskiego, jak udało mu się w rysach pani Stoll tak mistrzowsko utrwalić grymasy Ireny Krzywickiej i Heleny Zatorskiej, niezapomnianej towarzyszkii dyrektora Departamentu Wydawnictw Ministerstwa Kultury i Sztuki. Mniejsza przede wszystkim o rolę *Życia towarzyskiego i uczuciowego* jako Wunderwaffe, która po dziś dzień wykorzystywana jest przeciwko już nie wszechmocnemu jak dawniej, lecz nadal trzymającemu się mocno Salonowi. Powieściowa pani Stoll spoczęła wprawdzie już w 1984 r. na Powązkach Komunalnych, wśród innych zasłużonych działaczy ruchu robotniczego, ale jej kolejne inkarnacje są wśród nas. Wszyscy, którzy zbyt wysoko cenią swój smak, by powoływać się na kolejne tomy *Resortowych dzieci*, a którzy zarazem szukają jakiegoś retorycznego harpuna, który pozwoli im przygwoździć tego hybrydowego smoka, zrośniętego niczym plecha z pracowników kilku portali, kilku redakcji, kilku rozgłośni, kilku wydziałów (i zarazem wnuków kilkuset rodzin) – zawsze, prędzej czy później skrzywią się i wycedzą coś o „saloniku pani Stoll”.

Stępią przez to ten niezrównany harpun, tę brzytwę, z której została sama ostrość, jaką jest *Życie towarzyskie i uczuciowe*. Stępią, bo 30 lat wolności pokazało, że „salon” jest prawdziwie powszechną formułą

życia zbiorowego. Prawdopodobnie oznacza to, że jest ściśle związany z naturą ludzką jako taką, że jest „naturalny” i przyrodzony ludzkim zbiorowościom w podobny sposób, co kulturowy zakaz kazirodztwa czy dążenie do monogamii. Pod różnymi obrazami (to może być Kossak o dyskusyjnej autentyczności i bezspornym ładunku patriotyzmu albo pachnące płótno Sasnala), na orientalnej otomanie lub zgrabnym Ikeowym fotelu z ekobrzyzy zawsze siedzieć będzie dama (różnej płci) rozdająca fawory, granty i bonmoty, którą otaczać będzie tłum cicisbejów, komentatorów, współpracowników i kuzynów, wszyscy spoglądać będą na siebie uważnie, śmiać się o ton zbyt głośno, chronić tartinki przed zsunięciem się z talerzykami, balansując uwagą, serdecznością i wykałaczką. „O bogowie, o bogowie moi, trucizny, trucizny!”.

Czytając, w kółko czytając *Życie towarzyskie i uczuciowe*, mniej już więc jestem ciekaw niezliczonych aluzji do intryg i pojedynków buldogów z lat 60. (choć oczywiście marzy mi się wydanie krytyczne tej powieści, na wzór niezapomnianej edycji *Dziennika 1954* dokonanej przez tragicznie zmarłego Henryka Daskę). Wiadomo, niewielu jest pisarzy, o których wszystko byłoby tak absolutnie autobiograficzne, jak u Tyrmanda: czytam więc tę powieść, już bez złośliwości, a z serdecznym współczuciem, jako zapis jego udręczeń, brodę w tym jak archeolog w zsywie, do którego trafiły wszystkie śmieci Pompejów, widzę w tym sześćsetstronicowy zapis sesji psychoanalitycznej, której Tyrmand nie odbył, bo kowboje nie kładą się na kozetce – więc zamiast mówić, napisał. Widzę nawet w *Życiu...* przedsmak jego porażki amerykańskiej. Bo przecież, można to po pół wieku powiedzieć, mimo tekstów w „New Yorkerze”, mimo splendorów w Rockford Institute, mimo książek, roczników i rodzinnego szczęścia Leopold Tyrmand nie odniósł sukcesu. „Nie było jego kraju; był inny kraj, który dostał za późno” – i o tym kraju, o tej Ameryce, która okazała się być inną

Ameryką, nic niemającą wspólnego już z westernem i Garym Cooperem, ale wręcz z Ameryką z rysunków Normana Rockwella, pisał z równym żarem, z równym jadem, choć z uboższą paletą barw, co o saloniku pani Stoll.

Czytam ją, jednak przede wszystkim wychytując jej jad, jej gniew – jej mizantropię, której biały żar jak elektrycznym łukiem łączy ją, nieoczekiwanie, z innymi, bardzo odległymi książkami. Z *Podróżą do kresu nocy* Céline'a. Ze starym Aleksandrem Fredrą, który jest w złym humorze i pisze sztuki o okrutnych starcach albo wspomnienia z pełnej bufonady kampanii napoleońskiej. Z Vonnegutem. Ze Swiftem. Z – skoro jesteśmy przy Anglikach – Evelynem Waughiem. Skoro jesteśmy przy Anglikach-katolikach – z Frederickiem Rolfe'em. A żeby nie być całkiem przy Anglikach – z Marcelem Proustem i jego opisami nieskończenie finezyjnych zakłamań Guermantów. A żeby zostać przy katolikach – z łacińskimi Ojcami Kościoła, mnożącymi opisy przywar, upadków, występków.

Mizantropia jest, jak się wydaje, stanem osobnym, punktem widzenia, do którego dochodzi się latami. Nie ma zgoła nic wspólnego z przytykami, które dwóch czy trzech wesołków potrafi mnożyć przez 45 minut programu telewizyjnego. Różni ją od satyry nie tylko przenikliwość spojrzenia, ale przede wszystkim jego szerokość: wesołkowie ciskają swoje uszczypliwości zawsze w jedną stronę, bezpiecznie ukryci za wysokim nasypem; mizantropia dobrej jakości jest jak karabin maszynowy na obrotowej podstawie, jest w stanie razić niemal na wszystkie strony. Niemal – bo jednak zazwyczaj oszczędza samego mizantropa (nic dziwnego, zważywszy, że nie sposób palnąć sobie samemu w łeb z karabinu maszynowego).

A może jest zatem po prostu „złośliwością z habilitacją”? Wieczną pretensją do innych, tyle że wzbogaconą o szlif i aluzje? Może jest dowodem małoduszności, rozgoryczenia, nieumiejętności spojrzenia na innych jeśli nie z miłością, to bodaj z litością?

A może nie. Może jest jednak gorzką wiedzą o ludziach, zdobytą po latach podchodów, zabiegów, zalotów, skodyfikowaną i nazwaną już „w smudze cienia”. Wiedzą, która pozostawia jednak miejsce na spojrzenie, jakie deklarował Oscar Miłosz, który (według świadectwa Czesława) „kochał ludzi starą miłością, zużytą przez litość, samotność i gniew”.

Nie wiem. Nie mam pewności. Sięgam po *Życie towarzyskie i uczuciowe* jak po *guilty pleasure*, pocieszając się tym, że podczas gdy pani Stoll i jej świta rozdawała i cofała fawory, Tyrmand po prostu pisał.

Wojciech Stanisławski



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 - 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego